

Szoa¹

NORBERT BOROWSKI

Rok 1940, luty skuwa świat lodem. Jak u Dantego, lzy zamarzają od przejmującego wiatru, który wzbudza skrzydła diabła. W piekle nie zawsze muszą buchać płomienie. Zimowy landszaft jest piękny. Biała pierzyna okrywa wszystko, od drzew po dachy baraków. Dziewczynka, zapadając się głęboko w zasy, razem z innymi dziećmi zmierza w stronę niewielkiego budynku łaźni. Tak przynajmniej wszyscy jej mówili. Wspomina piękne chwile, gdy zimą lepiła bałwana, gdy zjeżdżała na sankach razem z tatą. Było tak wesoło. Kiedy już oboje zmarli, wracali do sklepika ojca na ciepłą herbatę i ciasto śliwkowe. Ta zima w niczym nie przypomina tamtych.

Śnieg skrzypi pod cienkimi bucikami. Jest zmęczona, rozpalona. Gorączka trawi ją od środka. Płatki śniegu spadające na jej skórę topnieją tak szybko, jak wspomnienia. Drży z zimna. Potyka się i przewraca, lecz po chwili idzie dalej. Jest teraz gdzieś indziej. Nie w obozie Buchenwald, lecz na plaży. Buduje zamki z piasku, karmi mewy. To nie śnieg skrzypi pod jej stopami, lecz piasek. Nie zwraca uwagi na kolczaste ogrodzenie po swojej prawej stronie ani na drewniane budynki po lewej. Nie zwraca uwagi na zbolale twarze ludzi, w jakichś cienkich koszulkach, stojących po kolana w śniegu. Nawet długie sople, zwisające z żelaznych liter napisu nad bramą i upodabniające ją do paszczy wilka, nie mają dla niej znaczenia. „Jedem das Seine”² warczy bestia.

Pędzona instynktem, podąża za grupą. Są jak owce, za nimi w długich błyszczących butach idzie pasterz stada z owczarkiem u boku. Nagle słyszy wystrzał, co przywraca ją do rzeczywistości. Huk nadbiega od strony lasu za ogrodzeniem. Tam śnieg jest czysty, zupełnie inny niż ta szara mieszanina na ścieżkach obozu. To nie wystrzał, po prostu jedna z olch pękła od mrozu.

Nie wierzy własnym oczom. Wśród pni stoi jakaś sylwetka. Przeciera zgrabiętymi rączkami bursztynowe oczka. To jej się na pew-

no śni. To przez gorączkę. Spogląda jeszcze raz, lecz postać nadal wspiera się o pękniętą olchę. Gładzi ją smukłą dłonią. To mężczyzna. Z pewnością. Mimo długich, kruczoczarnych włosów postać nie ma w sobie nic z kobiecości. Jest wysoki, odziany w srebrną szatę. Bije od niego niesamowity majestat. Ale dziewczynka wyczuwa, że jest dobry. Dzieci mają magiczną zdolność poznawania charakteru człowieka, wystarczy tylko, że przebywają w jego obecności. Z wiekiem, niestety, tę zdolność tracą. Mężczyzna spogląda na nią płomiennymi, zielonymi, kocimi oczami i uśmiecha się przyjacielsko. W tym uśmiechu nie ma nic z obłudy. Dziewczynka wskazuje lekkim ruchem głowy strażnika kroczącego kilka metrów za nią i kieruje do srebrzystego bezgłośnie:

– Uciekaj.

– Ja nie muszę uciekać, dziecko. To jest moje królestwo. Jestem panem tych lasów – mówi wystarczająco głośno, by usłyszała każde słowo. Lecz co dziwne, nikt inny tego nie słyszy, nawet strażnik. Tylko pies spogląda na zielonookiego i jakby z szacunkiem spuszcza łeb.

– Jeżeli jest pan królem, to dlaczego pan nie każe im przestać? – dziewczynka szepcze, ale postać rozumie wszystko idealnie.

– Nawet ja nie jestem w stanie tego zakończyć. Ale już niedługo zabiorę cię ze sobą. Już za chwilę razem pójdziemy przez ten las. Chcesz? – wskazuje ręką jasną ścieżkę za plecami.

– Chcę! – woła, ale po chwili się uspokaja. Nikt nie zwrócił uwagi na ten krzyk. Niektóre z dzieci płaczą, inne idą w otępieniu. Strażnik jest obojętny, wykonuje tylko rozkazy. – A co z innymi dziećmi? Co z moimi rodzicami? Tak długo ich nie widziałam – znów wraca do szeptu.

– Spokojnie, maleńka. Inne dzieci też zabiorę. Rodzice już na ciebie czekają, poszli Tam inną drogą. Ja jestem tym, który przewozi Tam dzieci.

– Kim pan jest? Jak się pan nazywa? – rozsądek bierze w niej górę, nikt nie jest w stanie przejść tych ogrodzeń i wyprowadzić z obozu całej grupy dzieci.

– Nazywają mnie tutaj Królem Olch, ale to tylko jedno z moich imion. Musimy się na chwilę rozstać, ale zaraz znów się zobaczymy – mężczyzna nagle znika za pniami.

Drzwi do betonowego budynku otwierają się i grupka dzieci wkracza do pomieszczenia. Nie jest tam o wiele cieplej niż na zewnątrz. Wchodzą jednak bez oporu. Błękitne płamy na ścianach to jedyny kolorowy element. Stalowe odrzwia zatrząskują się. Nic nie słychać.

Mężczyzna wygląda zza pnia i przygląda się poczynaniom żołnierza. Żołnierz kopie w zasuwę, która najwidoczniej przymarzała do drzwi. Kieruje się w stronę zaworu przy ogromnych rurach wchodzących w ścianę budynku. Mija stos stalowych puszek, wyglądających jak ogromne konserwy. Różnią się od nich tylko czerwoną nalepką z czaszką i napisem „ZYKLON”. Żołnierz w grubych, futrzanych rękawicach odkręca zawór. Nie dobiega żaden dźwięk. Po chwili odchodzi.

Król patrzy na wszystko i roni łzę, która nim uderzy o śnieg, zamarza i zmienia się w kryształ. Pojawia się za nim młoda kobieta o słomiano-złotych włosach. Ma na sobie tylko zwiewną letnią sukienkę. Jest piękna i tajemnicza. Czarne skrzydła tkwią nieruchomo, a srebrna kosa wydaje się zupełnie jej nie ciążyć. Kładzie dłoń na ramieniu mężczyzny.

– Dlaczego płaczesz, Królu? Przyszedłeś przecież zabrać je z tego piekła – mówi głosem chłodniejszym niż powietrze. Władca odwraca się w jej stronę i spogląda w głębokie i ciemne jak wnętrza grobu oczy.

– Nie płaczę przez dzieci. Tam, gdzie idziemy, będzie im tylko lepiej. Płaczę, gdyż myślę o dorosłych. Nie o tych, którzy marzną w tych barakach, lecz o tych, którzy piją teraz ciepłą herbatę i polerują Żelazne Krzyże. Wszyscy byli kiedyś moimi dziećmi. Teraz tylko ty ich łączysz.

– Mozesz mi powiedzieć, gdzie ich zabierzesz? – kobieta patrzy gdzieś w dal.

– Zabiorę ich tam, skąd wieje ten lodowaty wiatr, pod skrzydła tego, który go sieje.

PRZYPISY

¹ (hebr.): Zagłada, zniszczenie. Synonim słowa Holocaust, uważany przez niektórych za odpowiedniejszy, gdyż nie odnosi się do pozytywnego, religijnego znaczenia całopalenia.

² (niem.): Każdemu, co jego; lub inaczej: Każdemu to, co mu się należy. Napis nad bramą obozu koncentracyjnego Buchenwald. ■